

12.09.2011

**Liliana Sonik: CAŁY TEN ZGIEŁK**

## **Nie żal mi zachodnich bankierów**

**W latach 80. zmieniła się kompletnie kultura przedsiębiorstwa, tak w Stanach, jak w Europie Zachodniej. Starzy, ukształtowani jeszcze przed wojną budowniczcy wielkich firm, przekazywali stery następcom.**

Taki na przykład twórca potęgi Michelin szczyił się, że zna z imienia kilka tysięcy swoich pracowników i jest ojcem chrzestnym nieskończonej liczby ich dzieci. Potem prezesami zostawali fachowcy od żonglerki strukturami, raz zajmujący się produkcją opon, kiedy indziej podwiązek. Przemysłowe mastodonty dzielili na mniejsze spółki, a potem łączyli w korporacje na zupełnie innych zasadach. Było trochę marudzenia z tego powodu, ale narzekañ nie traktowano poważnie. Tłumaczono, że metody zarządzania globalizujących się firm muszą się zmieniać, bo kapitał nie ma ani narodowości, ani obowiązków. Poza zyskiem naturalnie. Trudno dziś powiedzieć, czy cyniczna teoria uzasadniała cyniczne praktyki, czy było na odwrót.

Z dziwnymi uczuciami czytam dziś amerykańskie diagnozy. Jedną z przyczyn światowego kryzysu jest właśnie to. Gigantyczne zarobki menedżerów premiowały zyski uzyskane pokrętnymi sposobami: fuzje i ekspansja, delokalizacja (czyli stawianie na tanią siłę roboczą kosztem jakości), likwidacja wzajemnych więzów lojalności przedsiębiorstwa z pracownikami. Za tym szła pauperyzacja klasy średniej. Zarobki amerykańskich pracowników są dziś na podobnym poziomie jak 30 lat temu, za to pensje menedżerów wzrosły niewyobrażalnie. Jak pisze "The Washington Post", jeszcze w latach 80. roczna pensja w wysokości miliona dolarów uznana była za satysfakcjonującą. Prezesi odrzucali propozycje podwyżek tłumacząc, że różnica wynagrodzeń w firmie większa niż 1 do 10 jest czymś nieprzyzwoitym, a poza tym psuje relacje wewnętrzne i klimat w firmie. Ze zdumieniem czytam, że John C. Bogle – twórca Vanguard, największego amerykańskiego funduszu inwestycyjnego – definiuje problem w kategoriach etycznych. Píše on, że jednym ze źródeł obecnego kryzysu jest zmiana mentalności: dawniej obowiązywał moralny absolutyzm – "są rzeczy, których się nie robi", teraz zastąpiony moralnym relatywizmem – "skoro wszyscy to robią, to nie będę inny".

Potężne banki i ogromne firmy bronią się przed bankructwem żądając miliardów od państwa. I często taką pomoc dostają, bo rządy lękają się efektu domina i fali bezrobocia. Ale prezesi, którzy wpakowali firmy – i nas wszystkich – w taką kabałę nie mają z tym problemu. Jedną ręką brali państwową pomoc, drugą – przyznawali sobie olbrzymie premie. Prezydent Barack Obama wprowadził dwa lata temu ograniczenie – do 500 tys. dolarów rocznie – wynagrodzeń kadry kierowniczej w firmach, które korzystają z pomocy rządu. Powiedział też, że prezesi banków, którzy przyznali sobie olbrzymie premie postąpili "haniebnie". I co? I nic. W dalszym ciągu dominuje myślenie "skoro wszyscy to robią, to nie będę inny".

Czy to już bezwstyd? Niekoniecznie. Czytam teraz książkę o wstydzie (i bezwstydzie), ale co w niej znalazłam napiszę za tydzień.